



DEAN KOONTZ

LOS Y ŚWIATA SĄ W JEGO RĘKACH

QUICKSILVER

ALBATROS

Tytuł oryginału:
QUICKSILVER

Copyright © The Koontz Living Trust 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Cezary Frąc 2025

Redakcja: Anna Suligowska-Pawełek

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce i stronach tytułowych: Shutterstock, Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ROZDZIAŁ 1

NAZYWAM SIĘ QUINN QUICKSILVER – czyli Kwi-Kwi dla złośliwych dzieciaków w czasach, w których dorastałem – ale nie mogę winić za to rodziców, bo nie wiem, kim oni są. Wkrótce po urodzeniu zostałem porzucony na rzadko uczęszczanej autostradzie, jedenaście kilometrów od Peptoe w Arizonie, gdzie dziewięćset sześć osób udawało, że ich miejsce zamieszkania tak naprawdę jest miastem. Owinięty w niebieski kocyk, ułożony w białym koszyku ze sztucznej wikliny, zostałem umieszczony na środkowym z trzech pasów asfaltowej szosy i znaleziono mnie wkrótce po świcie.

Niektórym pewnie się wydaje, że to najgorszy sposób na rozpoczęcie życia, ale zapewniam, że mogło być gorzej. Po pierwsze, porzucono mnie na terytorium kojotów. Gdybym został znaleziony przez jedno z tych stworzeń, nie wykarmiłoby mnie piersią jak wilczyca, która uratowała porzuconego Romulusa, założyciela Rzymu, lecz uznałoby mnie za dostawę z Grubhuba. Mógłbym też zostać przejechany przez tira, a wtedy zamieniłbym się w pasztet dla sępów. Na szczęście znalazło mnie trzech mężczyzn jadących do pracy.

Pierwszy, Hakeem Kaspar, był okręgowym monterem linii elektrycznych, jak w tej piosence Glena Campbella, którą zawsze uważałem za piękną, ale dziwną, chociaż oczywiście, gdy znaleziono mnie na autostradzie, jeszcze

jej nie znałem. Drugi, Bailie Belshazzer, pracował jako główny mechanik w jednej z pierwszych farm wiatrowych w hrabstwie. Trzeci, Caesar Melchizadek, był szefem stołów do blackjacka w kasynie należącym do rdzennego plemienia.

Według tego, co napisano wówczas w gazecie, Hakeem ułożył mnie na podłodze przed fotelem pasażera w pick-upie i ruszył do biura szeryfa hrabstwa, a Bailie i Caesar jechali za nim swoimi samochodami. Gazeta nie podała, dlaczego wszyscy trzej postanowili przekazać mnie władzom. To wszystko, co wiedziałem o tych mężczyznach, dopóki wiele lat później, ratując swoje życie, nie odwiedziłem jednego z nich w nadziei, że poznam jakiś szczegół, który mógłby być wskazówką pozwalającą odkryć, kim jestem.

Do kocyka, w który mnie owinięto, ktoś przypiął agrałką małą kopertę. Ani Hakeem, ani Bailie, ani Caesar nie odważyli się jej otworzyć, bo najwyraźniej obejrzeliby zbyt wiele odcinków *CSI* i bali się, że zatrą odciski palców porywacza. A może myśleli, że zostałem porwany przez jakiegoś potwora, który stracił zimną krew i zostawił mnie na pastwę losu w ten upalny poranek, albo że ktoś porwał moich rodziców i zażąda okupu. Kiedy szeryf otworzył kopertę, znalazł tylko kartkę z wypisanymi słowami QUINN QUICKSILVER i moją datą urodzenia.

W tamtych czasach nikt w Arizonie nie nosił nazwiska Quicksilver, mimo to wszyscy od razu uznali, że tak się nazywam. Od tamtej pory dźwigam ten krzyż. Oczywiście *quicksilver* to inaczej rtęć, której nazwa pochodzi z kolei od rzymskiego boga Merkurego*. Facet był posłańcem bogów, cenionym za niezwykłą szybkość; potrafił przyśpieszać jak szalony. A Quinn, chociaż jest odmianą imienia Quentin,

* *Mercury* (ang.) – rtęć; *quicksilver* (ang.) – żywe srebro, rtęć.

wywodzi się także od łacińskiego słowa *quintus*, czyli „pięć” albo w niektórych kontekstach „pięć razy”. Może więc nie było to moje imię, a tajemnicza wiadomość oznaczająca „przyśpiesz pięć razy”, choć tego rodzaju porady nie znajdzie się w żadnej książce o opiece nad noworodkiem, podobnie jak instrukcji informującej, jak „marynować je w oliwie z liśćmi bazylii”.

Zostałem podopiecznym hrabstwa, najmłodszym, jaki kiedykolwiek trafił do tamtejszej placówki opiekuńczej. Żadna rodzina zastępcza nie chciała przyjąć trzydniowego chłopczyka, którego jedynym dobytkiem był zabrudzony kocyk i który według szeryfa Garveya Monktona miał „dziwne niebieskie oczy i niesamowicie bezpośrednie spojrzenie jak na takie maleństwo”. W rezultacie wysłano mnie z hrabstwa do Mater Misericordiae, sierocińca prowadzonego przez katolickie siostry zakonne w Phoenix.

Kiedy miałem sześć lat, stało się jasne, że nie zostanę adoptowany. Najbardziej pożądaną dla rodziców adopcyjnych grupą wiekową są niemowlęta, które zwykle trafiają do nowych domów szybciej, niż można powiedzieć „kosi, kosi łapci”. Dzieje się tak, ponieważ na ogół są słodsze niż starsze dzieci, może z wyjątkiem słynnego dziecka Rosemary, ale także dlatego, że rodzice biologiczni mieli mniej czasu, by je skrzywdzić; osobowość każdego uśmiechniętego niemowlaka czeka na rozwinięcie i może zostać ukształtowana na obraz i podobieństwo tych, którzy go adoptują. Chociaż byłem dość uroczy i gotów do formowania jak gлина, nie było chętnych na Quinna Quicksilvera.

Niepowodzenie w znalezieniu dla mnie stałego domu nie wynikało z braku wysiłków ze strony zacnych sióstr z Mater Misericordiae. Były nieustrudzone i przebiegłe jak wszystkie inne zakonnice na tej planecie. Przygotowały dla mnie plan marketingowy i fantastyczną prezentację w PowerPoincie,

po czym usiłowały sprzedać mnie potencjalnym rodzicom tak agresywnie, jak Disney filmy animowane o księżniczkach czy uroczych zwierzakach. Wszystko na próżno. Wiele lat później dowiedziałem się, jak niedoszli rodzice adopcyjni tłumaczyli odmowę, ale może ich uwagami podzielię się później.

Sierociniec był jednocześnie szkołą, bo sześciolatki i starsze dzieci często musiały tam mieszkać do osiemnastego roku życia. Siostry, które były też nauczycielkami, umiały znakomicie przekazywać wiedzę, a dzieci szybko rozumiały, że lepiej nie opierać się nauce. Jeśli nie wykorzystywałeś w pełni swoich możliwości, spędzałeś mnóstwo czasu na myciu naczyń, obieraniu ziemniaków i praniu; jeśli byłeś pilnym uczniem, nie przydzielano ci żadnego z tych zadań.

Uczniowie szkoły Mater Misericordiae zawsze wygrywali miejskie i stanowe konkursy ortograficzne oraz starcia klubów dyskusyjnych, a także zdobywali nagrody na targach nauki. W rezultacie wielu z nas dostawało manto od najwybitniejszych młodych intelektualistów w stanie.

Hojni darczyńcy sióstr fundowali stypendia do szkół wyższych i zawodowych tym, którzy potrzebowali wsparcia finansowego. Ja do nich nie należałem. Marzyłem o tym, żeby zostać pisarzem. Intuicja podpowiadała mi, że niewłaściwy uniwersytecki kurs kreatywnego pisania może zniszczyć coś, co jest oryginalne w moim stylu, i przemienić mnie w literackiego robota.

Siostra Agnes Mary kierowała biurem pośrednictwa pracy dla tych, którzy nie chcieli kontynuować nauki. Kiedy skończyłem siedemnaście lat i sześć miesięcy, wykorzystwała próbki mojej twórczości, by załatwić mi pracę u wydawcy „Arizona!”, czasopisma o cudach stanu i jego mieszkańcach. Nie powierzano mi jeszcze pisania o współczesnych obywatelach, których znacznie łatwiej urazić niż zmarłych.

Przydzielono mnie do zbierania materiałów i pisania o interesujących postaciach i miejscach z bogatej przeszłości stanu, zastrzegając, że mam unikać wzmianek o burdelach i bandytach.

W osiemnaste urodziny, ledwie pół roku po rozpoczęciu pracy w czasopiśmie, było mnie stać na kawalerkę i wyprawkę z sierocińca. Rok później popełniłem fatalny błąd i od tamtej pory uciekam przed siłami ciemności.

To niesamowite, że już pierwszego dnia po popełnieniu tego błędu, cały tydzień przed tym, zanim jego konsekwencje stały się jasne, doświadczyłem po raz pierwszy tego, co przez pewien czas nazywałem „dziwnym magnetyzmem”. Było tak, jakby ktoś pisał moje życie – nie historię życia, ale samo życie – ktoś, kto wiedział, że nadchodzi czas, kiedy będę potrzebował znacznej ilości gotówki, żeby uniknąć schwytania.

Był piątek na początku maja. Po wykonaniu zadań z całego tygodnia wziąłem dzień wolny; miałem zamiar unikać ćwiczeń fizycznych, faszerować się szkodliwymi węglowodanami i oglądać stare filmy z Obcym i Terminatorem, aż zaczął krwawić mi oczy. Zanim jednak zjadłem choćby jednego pączka w czekoladzie, zrobiłem się niespokojny i ogarnęła mnie dziwna potrzeba, by wsiąść do starej toyoty i przetestować te opony, wyjeżdżając z miasta na pustynię. Doskonale pamiętam, jak mówiłem sobie: „Co ja robię? Dokąd jadę?”. Potem przestałem pytać, bo zdałem sobie sprawę, że gdybym nieco zmienił głos i odpowiedział, podając cel podróży, mogłoby wyjść na to, że mam rozdwojenie jaźni, a tego wolałbym uniknąć.

Okazało się, że zmierzałem nie do miasta widma z czasów dziewiętnastowiecznych kowbojów i poszukiwaczy, ale do czegoś w rodzaju widmowego skrzyżowania z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Odcinek drogi stanowej przestał być potrzebny, gdy zbudowano autostradę międzystanową.

Stacja benzynowa Texaco, restauracja i duży barak z blachy falistej o niewiadomym przeznaczeniu stały porzucone, obracane w ruinę przez bezlitosne pustynne słońce, wiatr, owoady i czas. Byłem tam już kiedyś, pół roku wcześniej, chciałem poznać klimat tego miejsca i napisać o nim krótki nastrojowy artykuł dla „Arizony!”.

Wielki szyld, zamontowany na dachu restauracji, wyblakł pod wpływem ostrych promieni słonecznych palących go od dziesiątek lat i został podziurawiony przez starych dobrych chłopców, którzy uważają, że jedynie mocne drinki i broń palna są w stanie zapewnić wieczorem świetną zabawę na mało uczęszczanych bocznych drogach. Ogólnie rzecz biorąc, tacy mężczyźni nie mają żon, które mogłyby się temu sprzeciwić, ani dziewczyn, które oferowałyby im bardziej atrakcyjne rozrywki. Dzięki przeprowadzonym wcześniej badaniom wiedziałem, że restauracja nazywa się Santinello's Roadside Grill.

Zaparkowałem na spękany, wypalonym przez słońce asfalcie, wyjąłem ze schowka latarkę, wysiadłem z samochodu i podszedłem do Santinello's. Okna zostały wybite dawno temu, a frontowe drzwi próchniały na zawiasach.

Promienie słońca wpadały przez wychodzące na wschód okna, przepędzając cienie na zachodnią stronę budynku, do jadalni, gdzie zebrały się jak gromada spiskowców. W 1956 roku wyprzedano boksy, stoły i krzesła wraz z wyposażeniem kuchennym. Wiatr nawiał do środka śmieci, a kurz osiadał przez dziesięciolecia.

Żaden herpetolog, którego pytałem, nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego przypełzło tam kilkadziesiąt węży, głównie grzechotników, by umrzeć. Podczas pierwszego pobytu w tym miejscu wpadłem w panikę i ochłonałem dopiero wtedy, gdy zrozumiałem, że gady są wysuszone, skamieniałe, martwe. Mimo to podczas drugiej wizyty ostrożnie

stąpałem między nimi, zmierzając do pomieszczenia, które kiedyś było kuchnią. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało już dawno wywiezione, a pod ścianą piętrzył się stos wszelkiego rodzaju pustych puszek, przemieszanych z połamanymi drewnianymi skrzynkami, w których niegdyś przechowywano pomarańcze i inne produkty.

Będąc tu poprzednim razem, przeszukałem te szczątki z nadzieją, że znajdę coś, co da mi punkt wyjścia do wzruszającego artykułu o tym, jak statek Santinello's rozbił się na poszarpanych skałach postępu, a załoga została ograbiona z życiowego dorobku i marzeń o lepszej przyszłości. W tych wczesnych dniach kariery byłem pełen szczenięcego entuzjazmu, zdolny do sięgania po rzadką, ale żenująco komiczną mieszaninę metafor, gdy usilnie starałem się rozpałić emocje czytelników. Było to dawno temu; teraz, gdy to piszę, jestem znacznie dojrzalszy, ponieważ przez rok walczyłem o przetrwanie, stopniowo odkrywając prawdziwą naturę świata i dostosowując się do niej.

W każdym razie podczas tamtej pierwszej eksploracji, kiedy grzebałem w śmieciach w kuchni, coś załśniło w świetle latarki i przyciągnęło moją uwagę. Gdy podniosłem kawałek pożółkłego papieru, żeby odsłonić znalezisko, ze sterty śmieci wyskoczyła zaniepokojona tarantula i pomknęła w górę po mojej ręce. Wiedziałem, że nie jest jadowita, że mnie nie ugryzie; ten gatunek uważany jest za łagodny, jest Mohandasem Gandhim wśród pajęczaków. Ale kiedy kosmaty pajak wielkości piłki nożnej – przynajmniej tak mi się wydawało – zbliża się do twojej twarzy, pojawia się reakcja: walcz lub uciekaj. Zatoczyłem się do tyłu, udało mi się strącić bestię z ramienia i straciłem całe zainteresowanie błyskotką, która połyskiwała w stercie śmieci.

Teraz z niewyjaśnionych przyczyn wróciłem i szukałem światłem latarki nie tarantuli, której nie czułem potrzeby

przepraszać, ale przedmiotu, którego nie pozwoliła mi wygrzebać. Znalazłem: była to bardzo stara ciężka moneta – sądząc po polysku, z czystego złota.

Obracałem ją w palcach, zdumiony, że w dniu ataku tarantuli w podświadomości musiałem rozpoznać, co to takiego, i ukrywałem tę wiedzę przez kilka miesięcy. Przyczyna mojego powrotu w to miejsce była dla mnie jednak jeszcze większą zagadką niż to, w jaki sposób moneta znalazła się w opuszczonej restauracji przy niegdyś ruchliwym skrzyżowaniu, które teraz w każdym z czterech kierunków prowadziło donikąd.

Zostawiłem martwe węże, żeby spoczywały, wywołując ciarki, w spokoju, i wróciłem do miasta. Zaszedłem do sklepu, gdzie kupowano i sprzedawano wszystko: od francuskich antyków po japońskie rzeźby z brązu z okresu Meiji.

Właściciel, Julius Shimski, wiedział wszystko, co można wiedzieć, o tym, co stare – o monetach, znaczkach, obrazach – choćby dlatego, że skończył osiemdziesiąt dziewięć lat i całe życie się uczył. Julius miał wianuszek siwych włosów, brwi przypominające gąsienice albinosy, niebieskie oczy, przejrzyste niczym woda w Edenie, i twarz, która z upływem lat nie pomarszczyła się, ale wygładziła, upodabiając go do oseska, jakim był tuż przed obrzezaniem. W wywiadzie dla „Arizony!” wyjaśnił swój wyjątkowy wygląd w następujący sposób: *Kiedy napętniasz się wiedzą na jakikolwiek temat, stajesz się pulchny.* To nie ja przeprowadziłem ten wywiad, ponieważ właściciel sklepu jeszcze nie umarł, ale po przeczytaniu tekstu zacząłem od czasu do czasu wpadać do sklepu Juliusa na pogawędki.

Właściwie to coś więcej niż sklep. Jest to licowany cegłą żelbetonowy piętrowy budynek, zaprojektowany w taki sposób, by nie zajął się ogniem nawet od iskry skrzeseanej przez samego diabła. Towar w sklepie wart jest miliony, żeby więc

zostać przyjętym, trzeba się wcześniej umówić na wizytę albo znać Juliusa. W obu przypadkach wchodzi się do środka przez kuloodporny przedsionek, gdzie zostaje się przeskanowanym pod kątem posiadania broni, zanim będzie można przekroczyć wewnętrzne drzwi. Kiedy Julius miał czterdzieści jeden lat i pracował gdzie indziej, uzbrojeni bandyci okradli go i pobili. Zbudował ten sklep-fortecę, bo – jak stwierdził w wywiadzie – *z paranoją mogę żyć, ale z kulką w głowie niekoniecznie*.

W ten piątek wnuczka Juliusa pracowała w pokoju od frontu i gdy zobaczyłem ją ze szklanego przedsionka, poczułem się podwójnie szczęśliwy. Sharona, obdarzona kruczoczarnymi włosami, ciemnymi oczami i cudownymi rysami twarzy, należała do tych kobiet, na które nie można długo patrzeć bez utraty zdolności spójnego mówienia, przynajmniej tak było w moim przypadku. Miała trzydzieści lat, była ode mnie starsza o jedenaście, więc z jej perspektywy ledwie wyszedłem z okresu dojrzewania, dla mnie natomiast była dziewczyną marzeń. Zajmowała się między innymi filateliastyką, co nie było tak seksowne, jak mogło się wydawać; wiedziała wszystko o kolekcjonerskich znaczkach pocztowych. Podobnie jak dziadek, chłoneła wiedzę niczym gąbka. Nie mam pojęcia, dlaczego nie wyszła za mąż. Traktowała mnie z czułością, jaką ciocia mogłaby okazywać ulubionemu siostrzeńcowi, a ja fantazjowałem, że pewnego dnia zrobię coś – może uratuję rodzinę z płonącego domu albo obezwładnię obłąkanego terrorystę – co sprawi, że spojrzy na mnie w zupełnie inny sposób i zobaczy we mnie romantyczną postać ze swoich marzeń.

Sharona pomachała do mnie ręką i odblokowała drzwi. Minąłem lampy Tiffany'ego i japońskie pudełka pokryte złotą laką, pochodzące z czasów od okresu Taishō do ery Heisei, i podszedłem do lady, za którą stała. Między nami

stała gablota z kolekcjonerskimi zegarkami na rękę. Gdybym bardziej wsłuchał się w groźną melodię, którą przeznaczenie wybrało jako podkład muzyczny dla tego, co miało nadejść, mógłbym uznać te zegarki za znak, że mój czas się kończy.

Tymczasem spojrzałem na Sharonę z uśmiechem, który zapewne przypominał suszenie zębów.

– Wyglądasz tak piątkowo – oznajmiłem, choć chciałem powiedzieć, że wygląda uroczo.

Obdarzyła mnie ciotczynym uśmiechem.

– Nikt dotąd mi czegoś takiego nie powiedział, Quinn. Co to znaczy wyglądać piątkowo?

– Cóż, po prostu wyglądać jak ty. – Rozwinięcie odpowiedzi wydawało się niezbędne, więc dodałem: – Piątek to najlepszy dzień, nie sądzisz? Tydzień pracy dobiegł końca, a poniedziałek to jeszcze przyszłość, więc przez chwilę jesteśmy wolni. Oczywiście ja mam dzień wolny, a ty nie, więc może widzisz całą sytuację w innym świetle. Ale dla mnie piątek teraz, w każdym razie w tym tygodniu, jest świetny. Jest piękny.

No proszę. Naprawdę to powiedziałem. Powiedziałem, że jest piękna, chociaż mogła potrzebować tłumacza, żeby właściwie zinterpretować moje słowa.

Skinęła głową.

– Zachowujesz się jak na haju. Ile kaw wypiełeś dziś rano, skarbie? Mój wujek Meyer pił osiem dziennie i w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat dorobił się krwawiącego wrzodu. Trzy dni na OIOM-ie.

– Spokojnie, nie ma obawy. Zadowolam się dwoma kubkami. To wystarczy, żeby mnie naładować. Dobra jamajska mieszanka. – Prawdę mówiąc, rzadko piłem kawę. Wołałem bezkofeinową pepsi lub colę, ale martwiłem się, że Sharona pomyśli, że wciąż jestem chłopcem, skoro wolę napoje

bezalkoholowe zamiast porządnego kubka kawy. Zawstydzilo mnie kłamstwo, nawet w tak błahej sprawie jak picie kawy. Żeby uniknąć brnięcia głębiej w bagno oszustw, wyjąłem z kieszeni złotą monetę. – Wstąpiłem, bo znalazłem coś takiego. Myślę, że może mieć jakąś wartość.

– Jestem przede wszystkim filatelistką, chociaż sporo wiem o Tiffanym, art nouveau i art déco. Dziadek jest specjalistą od numizmatyki.

Tak bardzo spodobało mi się brzmienie słowa „filatelistka”, gdy je wypowiadała, że chciałem ją poprosić o powtórzenie, ale się powstrzymałem.

– Wiesz, gdzie jest biuro dziadka – dodała. – Uprzedzę go przez interkom, że tam zajrzysz.

Biuro mieściło się na tyłach budynku, na piętrze. Przeszedłem przez magazyn pełen skarbów i znalazłem dziadka Sharony przy biurku w stylu art déco, o którym wiedziałem, że wyszło spod ręki Ruhlmana; kiedyś opowiedział mi jego historię, gdy zapytałem, czy mogę podobne kupić w Ikei. Julius oglądał karalucha przez lupę jubilerską.

– Co to jest?

– Broszka – odparł.

– Dlaczego ktoś miałby nosić broszkę z karaluchem?

Oderwał wzrok od lupy i uniósł krzaczaste brwi.

– To nie karaluch. To zupełnie inny gatunek chrząszcza, skarabeusz. Został wykonany ze srebra, obecnie zmatowiałego, i ozdobiony jednymi z najwspanialszych szafirów, rubinów i szmaragdów, jakie kiedykolwiek miałem przyjemność oglądać.

– Karaluch czy skarabeusz, chrząszcze to chrząszcze. Nie lubię robaków.

– Starożytni Egipcjanie uważali skarabeusze za święte.

– Pewnie dlatego ich cywilizacja nie przetrwała. Spójrz, co znalazłem.

Odłożył wysadzanego klejnotami owada i lupę, żeby przyrzyć się mojej monecie.

– Skąd ją masz? – zapytał.

Powiedziałem mu prawdę, przemilczając przygodę z tarantulą, bo nie chciałem, żeby powiedział Sharonie, że wystraszyłem się zwykłego pająka.

– Czy jest coś warta?

– W detalu, od kolekcjonera, czterdzieści tysięcy, może parę tysięcy mniej.

Zakręciło mi się w głowie. Liczyłem na jakieś sto dolców.

– O kurczę, budyń i placek! – wykrzyknąłem. Tak mówiliśmy w sierocińcu, żeby nie wyrażać się dosadniej w obecności sióstr. – Chyba powinienem się dowiedzieć, do kogo to należy.

Julius zmarszczył brwi.

– Do kogo należy? Jeśli prawdą jest to, co powiedziałeś, należy do ciebie. Nie sądzę, żeby ktoś, kto kiedykolwiek był właścicielem tej restauracji, jeszcze żył. W każdym razie, jeśli dobrze pamiętam artykuł, który napisałeś dla magazynu, cały budynek został przeznaczony do rozbiórki i przeszedł na własność hrabstwa.

– W takim razie właścicielem jest hrabstwo. Albo Waszyngton. Prawdopodobnie będzie nagroda dla znalazcy.

Przez cały ten czas stałem przy biurku. Julius wskazał mi krzesło.

– Siadaj. Masz zawroty głowy.

Kiedy zapewniłem, że czuję się dobrze, jeszcze raz kazał mi usiąść, tym razem głosem dużo bardziej surowym, niż kiedykolwiek u niego słyszałem.

– Co rząd może zrobić z czterdziestoma tysiącami dolarów? Kupić dozownik mydła do jednej z senackich toalet? Położyć pół metra nowych torów dla pociągów jadących donikąd? Słuchaj, synu, gdyby na twoim miejscu był ktoś

inny, dałbym dwadzieścia sześć tysięcy, może ciut więcej. Ale jestem całkiem pewien, że w ciągu miesiąca sprzedam to jakiemuś kolekcjonerowi za cenę zbliżoną do tej, o której wspomniałem, więc podejmę nieco większe ryzyko i dam ci trzydzieści tysięcy. Jesteś młody i biedny, więc uznaj to za błogosławieństwo, podziękuj Bogu i żyj dalej.

Może byłem zbyt naiwny, żeby wyszło mi to na dobre, a może nie chciałem, by pomyślał, że jestem tak bardzo młody, za młody dla Sharony, gdyby nagle się we mnie zakochała. Niezależnie od tego, jaki był tok mojego absurdu, powiedziałem:

– Naprawdę nie jestem taki młody... to znaczy, mam dobrą pracę, własne mieszkanie. Mam perspektywy.

– Synu, jeśli ty nie jesteś młody, to ja jestem starszy niż martwy. – Pochylił się w fotelu, trzymając monetę w palcach. – Powiedz, że weźmiesz pieniądze, albo rzucę monetą. Jeśli wypadnie orzeł, spuszczę ją w sedesie, a jeśli reszka, to też ją spuszczę.

– Żartujesz.

– Przekonaj się.

– Ale co to za wybór?

Podniósł się.

– Jedyne, jaki ci oferuję. Nie będę maczać palców w twojej konsternacji. A jeśli uważasz, że jestem za stary, żeby powstrzymać cię przed odebraniem mi monety, zanim zdążę ją splukać, to lepiej załóż metalowe suspensorium i przygotuj się na inne obrażenia.

Z perspektywy czasu myślę, że przestraszyła mnie myśl o nagłym wejściu w posiadanie trzydziestu tysięcy dolarów. Przyszedłem na świat z niczym i przez osiemnaście lat żyłem na koszt sierocińca. Nawet pracując w „Arizonie!”, nigdy nie miałem tyłu pieniędzy, by martwić się, że mogę je zgubić. Zdecydowałem, że nie machnę ręką na trzydzieści

kawałków, bo wtedy nie tylko Sharona, ale także każda inna kobieta, która ma głowę na karku, uzna mnie za głupka i przegrywa i skreśli na dobre.

Dlatego się zgodziłem. Julius dał mi czek na dwadzieścia dziewięć tysięcy i tysiąc dolarów w gotówce, żebym mógł od razu wymienić tyse opony w moim rzęchu i urządzić jakąś skromną imprezę. Udałem się bezpośrednio do banku i zrealizowałem czek.

Ponieważ Julius i ja mieliśmy konta w tym samym banku, zadzwonili do niego w celu weryfikacji i udostępnili mi środki następnego dnia, w sobotę, która od tego czasu stała się moim ulubionym dniem tygodnia.

Nazajutrz rano, po prysznicu i misce płatków Cap'n Crunch, znów poczułem ten dziwny magnetyzm, który zaciągnął mnie na widmowe skrzyżowanie. Tym razem byłem zmuszony wrócić do banku i wypłacić cztery tysiące dolarów w setkach i dwudziestkach. Nie wydałem z tej sumy ani centa. Zabrałem pieniądze do mieszkania, zapakowałem je do torebki strunowej i włożyłem pod poduszkę na moim jedynym fotelu.

Przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem artykuł o upadających bankach, i uznałem, że po prostu wpadam w paranoję na myśl o utracie nowo zdobytego bogactwa.

W poniedziałek podczas przerwy na lunch wróciłem do banku, wypłaciłem kolejne dwa tysiące i też włożyłem je do woreczka strunowego. Kiedy we wtorek podjąłem trzy tysiące, a w środę następne trzy, zacząłem się bać. Nie, nie czułem, że tracę kontrolę. Czułem raczej, że przygotowuję się na coś więcej niż upadek banku, że skądś wiem, że nadchodzą kłopoty – tak jak wiedziałem, gdzie znajdę cenną monetę.

W czwartek zaniepokoiłem się jeszcze bardziej, bo nie mogłem oprzeć się pokusie kupienia małej walizki i spako-

wania do niej dwóch kompletów ubrań na zmianę i przyborów toaletowych. Włożyłem walizkę do bagażnika i zostawiłem samochód na parkingu długoterminowym w centrum miasta, zapłaciwszy gotówką za tydzień z góry.

Wyplaciłem następne cztery tysiące i ludzie w banku pewnie zaczęli myśleć, że albo jestem nałogowym hazardzistą, albo padłem ofiarą jakiejś naciągaczki.

W piątek rano stawiałem się w pracy z dwiema torebkami strunowymi – każda zawierała osiem tysięcy dolarów – przymocowanymi taśmą klejącą do mojego torsu. Włożyłem luźną koszulkę, by nie było widać, że zaczęły mi rosnąć piersi.

W tym czasie nie miałem już pewności, że jestem zdrowy psychicznie. Minął tydzień, odkąd wszedłem w posiadanie pieniędzy i zacząłem przygotowywać się do roli uciekiniera. To, że intuicja nakazała mi podjęcie przygotowań, nie oznaczało, że mnie nie zawiedzie. W większości ludzie zmuszeni do robienia niezwykłych rzeczy są szurnięci jak wiewiórka na metamfetaminie. Musiałem się zastanowić, czy mój strach nie jest irracjonalny i czy nie wynika z poczucia winy związanego ze sprzedażą nienależącej do mnie monety. Wychowały mnie zakonnice, które przez osiemnaście lat w najmniej dotkliwy, ale też najbardziej rygorystyczny sposób wbijały mi do głowy, co wolno robić, a czego nie wolno. Rozsądnie było założyć, że nadmiar moralnej perswazji uwrażliwił mnie na występkę do tego stopnia, że odczuwałbym wyrzuty sumienia z powodu zatrzymania dla siebie znalezionej na ulicy centówki. Zatem zagrożenie z pewnością było wyimaginowane, kulka niepokoju odbijająca się rykoszetem w mojej chorej głowie. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyłem, dopóki na lunchu nie pojawiły się oprychy.

ROZDZIAŁ 2

DWOJE KUCCHARZY, KTÓRZY BYĆ MOŻE pewnego dnia staną się sławni jak Andy Warhol, uratowało mnie przed parą dobrze ubranych mężczyzn ze złymi zamiarami.

Pięć dni w tygodniu jadłem lunch w lokalu naprzeciwko redakcji, ponieważ byłem niewolnikiem swoich przyzwyczajeń, a knajpka poza czystością szczyciła się smacznym i tanim jedzeniem. Należała do rodziny Beane. Hazel Beane była pięćdziesięcioletnią rozwódką, której mąż, prawnik, uciekł z klientką, wyszarpnąwszy dla niej dziesięć milionów dolarów odszkodowania za śmierć męża, Darnella Ickensa. Ława przysięgłych jednomyślnie orzekła, że funkcjonariusz policji zareagował przesadnie, gdy strzelił do Darnella sześć razy po tym, jak tamten zaatakował go gwoździarką pneumatyczną i naszpikował czterema gwoździami. Hazel przyjęłaby w swoim lokalu prawnika jako klienta, ale nigdy nie powitałaby go z uśmiechem. Jej dzieci – Phil i Jill, dwudziestosześcioletnie bliźnięta dwujajowe – były doskonałymi kucharzami, obsługującymi płytę do smażenia i grilla w doskonałym stylu, mimo że nie było to ich powołaniem. Przyszły na świat, by zostać artystami. Phil ufarbował postawione na żel włosy na fioletowo i zgolił brwi, Jill natomiast ufarbowała postawione na żel włosy na zielono i ciągle chodziła w czarnej piźamie i czerwonych butach. Nie udało im

się jeszcze sprzedać zbyt wielu obrazów, ponieważ, jak wyjaśnili, establishment artystyczny ceni atrakcyjność rynkową wizerunku artysty tak samo lub bardziej niż jego obrazy, przełom zależy więc od wstrzelenia się w gusta. Ostatnio Phil i Jill dużo myśleli o ogoleniu się na łyso i pomalowaniu na niebiesko od stóp do głów.

Tak czy inaczej, zwykle przechodziłem przez ulicę do Beane's Diner pod koniec przerwy na lunch, mogłem więc siedzieć przy ladzie i nie stresować się, że jakiś klient spróbuje wciągnąć mnie w rozmowę o czymś tak absurdalnym jak polityka lub o czymś równie złym jak, cóż, polityka. Bardziej interesowała mnie sztuka i świat sztuki, a Phil i Jill mieli na ten temat dużo fascynujących rzeczy do powiedzenia. W ten piątek boksy nadal były zajęte przez pracowników wyższego szczebla, którzy mogli przeciągnąć lunch bez obawy, że szef da im linijką po łapach. Większość stołków przy ladzie była wolna.

Gdy Jill opowiedziała niezwykłą anegdotę o dziwnych, surrealistycznych wizjach podświadomie przelanych na płótno przez Andrew Wyetha, Phil podał mi hamburgera z potrójnym serem, sałatą, pomidorem i majonezem. Frytki były superchrupiące, takie jak lubię. Popijałem drugi kęs hamburgera wiśniową colą, kiedy na stołkach po obu moich stronach pojawiło się dwóch mężczyzn, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Od obu natychmiast poczułem złe wibracje i chociaż ugryzłem trzeci kęs hamburgera, miałem pewne trudności z przełknięciem go.

Obaj byli ubrani w czarne garnitury, białe koszule i czarne krawaty. Na nosach mieli okulary przeciwsłoneczne; zdjęli je, złożyli i wsunęli do kieszeni koszuli, urządzając przy okazji imponujący pokaz synchronizacji.

Spojrzałem w lewo i facet uśmiechnął się do mnie. Był przystojny jak model i miał brązowe, niemal złote, kocie

oczy. Coś w jego uśmiechu mówiło, że uśmiechanie się przychodzi mu zbyt łatwo, że uśmiecha się przez całą noc podczas snu, a uśmiech wcale nie oznacza, że kogoś lubi albo jest w dobrym nastroju, ani nawet że rozumie znaczenie tego uśmiechu.

Drugi facet był drągalem o twardej, płaskiej gębie; wyglądał tak, jakby niejedną raz z maksymalną prędkością wjechał w ścianę po prostu dla zabawy. On też się uśmiechnął, ale zauważyłem, że przybranie takiego wyrazu twarzy wymaga od niego koncentracji.

- Trochę dzisiaj za gorąco – zagadnął ten złotooki.
- Cóż, maj w Phoenix.
- Mieszkałeś w Phoenix przez całe życie, prawda?
- Prawie.
- Lubisz Phoenix bardziej niż miejsce, z którego pochodzisz? – zapytał twardziel po mojej prawej ręce.
- Jasne, bardzo lubię. Nie pamiętam, skąd pochodzę.
- Ten młody człowiek cierpi na amnezję – stwierdził Prawy, patrząc na Lewego.

Lewy zgasił swój swobodny uśmiech, zastępując go sztucznym smutkiem.

- Przykro mi to słyszeć. Musi być ciężko żyć z brakiem pamięci.
- Nie mam amnezji – zapewniłem ich. – Pochodzę z Pepto w Arizonie, ale spędziłem tam tylko kilka dni po urodzeniu.

Spoglądałem na przemian raz w jedną, raz w drugą stronę, gdy mężczyźni synchronicznie i z powagą kiwali głowami.

Pojawiła się Hazel Beane, rzuciła menu na ladę i zapytała:

- Podać coś do picia?
- Daj nam chwilę, dobrze? – poprosił przystojniak.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek, potem na jego towarzysza.

– Jesteście prawnikami?

– Nie, ale aresztowaliśmy kilku.

To nie zadowoliło Hazel tak, jak powinno.

– Skarbie, wszystko w porządku? – zwróciła się do mnie.

Głęboko odetchnąłem restauracyjnym powietrzem prześląkniętym smażoną cebulą i wołowiną skwierczącą na płycie.

– Jeszcze nie wiem – odparłem.

– To dobry chłopak – powiadomiła Hazel moich towarzyszy posiłku.

– Skoro tak mówisz – mruknął Lewy.

– Jego dobro leży nam na sercu – dodał Prawy.

Kelnerka Pinkie Krankauer nachyliła się nad Prawym, by powiedzieć Philowi, że potrzebuje dwóch piw z beczki do stolika numer cztery. Rzuciwszy mi zaniepokojone spojrzenie, Phil poszedł po browar, zostawiając dogłądanie płyty do smażenia na głowie siostry.

Kiedy Hazel niechętnie odeszła, mężczyzna o złotych oczach zapytał:

– Więc nie pamiętasz, co wydarzyło się w Peptoe?

– Gdy miałem trzy dni, trafiłem do katolickiego sierocińca. Zresztą w miasteczku, które liczy dziewięćset sześciu mieszkańców, niewiele się dzieje.

– Od tamtej pory nastąpił gwałtowny wzrost populacji – powiedział Lewy. – Jest ich teraz dziewięćset dwunastu.

– Nawet jeśli Peptoe stałoby się metropolią, małe dziecko porzucone na środku autostrady nadal wzbudzałoby sensację – zauważył Prawy.

– Tak, chyba tak – przyznałem. – Słuchaj, z jakiej agencji jesteście? Mam prawo wiedzieć, z kim gadam.

Przystojniak po mojej lewej ręce wyciągnął portfel z dokumentem tożsamości. Pracował w ISA, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Słyszałem o niej, ale nie wiedziałem,

czym różni się od FBI, NSA, DSA, ATF, Bezpieczeństwa Narodowego czy jakiegokolwiek innej agencji. Obecnie w Ameryce jest znacznie więcej agencji federalnych niż jeszcze dziesięć lat temu.

Odkładając portfel, Lewy odezwał się cicho, jakby wszyscy w restauracji próbowali podsłuchiwać, i może rzeczywiście tak było.

– Słuchaj, mogliśmy poczekać na ciebie w twoim mieszkaniu, ale nie wiedzieliśmy, jakie niespodzianki chowasz w zanadrzu.

– Niespodzianki? – powtórzyłem zdziwiony.

– Jeśli spróbujesz tutaj jakiejś sztuczki... – szepnął Prawy.

– Sztuczki?

– Czegoś wyjątkowego. Przy tylu świadkach byłaby to wielka afera. A nie chcesz chyba wywołać afery?

– Wyjątkowego? – powiedziałem, ograniczając się do odpowiedzi-pytań złożonych z jednego słowa.

Żaden nie odzywał się przez pół minuty. Patrzyli na mnie w sposób, który w pierwszej chwili zinterpretowałem jako próbę zastraszenia. Kiedy jednak obracałem głowę z boku na bok, zdałem sobie sprawę, że ich twarde podejście wynika nie tylko z tego, że są agentami, lecz także ma na celu zamaskowanie strachu. Oni się mnie bali. Przez dziewiętnaście lat mojego życia nikt się nigdy mnie nie bał. Nawet wściekli przegrani na konkursie ortograficznym spuścili mi łomot, na litość boską!

Drab ze spłaszczoną gębą z trudem przełknął ślinę, jakby coś stanęło mu w gardle.

– Z pierwszym takim jak ty, którego znaliśmy, z facetem o imieniu Ollie, próbowaliśmy pogadać w miłym, ustronnym miejscu – powiedział cicho.

Ten po mojej lewej ręce wsunął dłoń pod marynarkę.

– Dwóch naszych siedzi w boksie za nami – mruknął. – Wyciągnęli broń i trzymają ją pod stołem.

– Spokojnie przedstawiliśmy Olliemu nasze zamiary i wyjaśniliśmy, że współpraca z nami leży w jego najlepszym interesie... – kontynuował Prawy.

– ...ale od tego momentu było już tylko gorzej – dokończył Lewy.

– Zrobił naprawdę straszne kuku niektórym z naszych ludzi.

Ta naprzemienna gadka wydawała się równie dobrze wyćwiczona jak dialogi Abbotta i Costella, choć znacznie mniej zabawna.

– Nie jestem groźny – powiedziałem bez przekonania.

– Musimy – zaczął drab – skuć ci ręce za plecami i zaprowadzić cię do naszej furgonetki. Chcemy tylko porozmawiać, musimy zrozumieć. Nie zamierzamy cię skrzywdzić.

– Ale zrobimy to, jeśli zrobisz coś wyjątkowego – zagroził Lewy. – Więc nie utrudniaj.

Prawy mruknął na znak poparcia.

– Strzelimy ci w głowę – szepnął tak cicho, że ledwo go usłyszałem. – Wszyscy czterej. To sprawdzało się wcześniej.

– Tak, i to bardzo dobrze – syknął złotoooki model ze stron „GQ”.

Jak łatwo sobie wyobrazić, byłem przerażony już do tego stopnia, że martwiłem się o wytrzymałość mojego pęcherza.

– Słuchajcie, chłopaki, popełniacie duży błąd. Nie jestem tym, za kogo mnie macie.

Żadna z osób, które oglądały nasz mały dramat rozgrywający się podczas lunchu, nie wiedziała na pewno, kim są ci faceci; równie dobrze można było pomyśleć, że to mafijni cyngle, którym jestem winien pieniądze. Później dowiedziałem się, że ISA budzi powszechną pogardę, równą tej, jaką

czuje się wobec mafii, więc w sumie na jedno wyszło, jeśli ktoś usłyszał nazwę agencji podaną przez Lewego.

Koncentrowałem się na Twiddledumie i Twiddledee tak bardzo, że reszta restauracji rozplynęła się we mgle. Przypuszczam, że agenci byli równie mocno skupieni na mnie i dlatego nie zauważyli, że obsługa restauracji podsłuchiwała dość, by się zaniepokoić. Jako świadczący usługi gastronomiczne patrioci, którzy zawsze staną w obronie przyjaciela, załoga Hazel Beane bez słów skoordynowała interwencję na moją rzecz.

Wyciągnąwszy koszyk chrupiących frytek z gorącego oleju, Jill odwróciła się i rzuciła zawartość w twarz Prawego.

Po napełnieniu dwóch półlitrowych kufli dla kelnerki, która o nie prosiła, Phil, zamiast postawić je na ladzie, chlusnął piwem z jednego, a potem z drugiego w złote oczy mężczyzny po mojej lewej ręce. Nastąpiło to w tej samej chwili, gdy facet po prawej dostał porcję frytek, których nie zamawiał. Usłyszałem, jak za moimi plecami Pinkie Krankauer mówi: „Nawet o tym nie myśl”, rzucając tacę pełną brudnych naczyń na kolana agentów w boksie.

Gdybym tydzień wcześniej grał w „Co byś zrobił?” i ktoś opisałby mi przebieg wydarzeń z Beane’s Diner, powiedziałbym, że najpewniej spadłbym ze stołka, pośliznął się i rymnął na podłogę w drodze do drzwi, po czym został skuty przez wściekłych agentów ISA. W rzeczywistości zaskoczyłem samego siebie: odepchnąłem lunch na bok i przegramoliłem się przez ladę. Korzystając z tego, że Jill mnie osłaniała, przemknąłem obok niej w stronę kuchni. Jill w tym czasie wsunęła łyżkę pod na wpół usmażoną mieloną wołowinę w cieście, zdjęła ją z płyty i posłała w twarz faceta, który wciąż wycierał frytki z oczu. W kuchni były lodówki, piekarniki i stoły, a także Pepe Chavez i Tau Hua.

– Quinn, człowieku – powiedział Pepe.

– Co się dzieje? – zapytała Tau Hua.

– Muszę pryskać – rzuciłem i przebiegłem przez kuchnię. Przy tylnym wyjściu zerwałem gaśnicę z uchwytu na ścianie i otworzyłem drzwi, spodziewając się ostrzału z karabinu maszynowego.

Facet w uliczce miał na sobie džinsy i hawajską koszulę, ale był duży i czujny.

– Cześć, koleś – powitał mnie.

Nikt normalny nie nazywa nieznajomego kolesiem, więc pomyślałem, że gość jest z ISA, i bezlitośnie potraktowałem go pianą z gaśnicy. Gdy ślaniał się jak bałwan Frosty rozpuszczający się w słońcu Phoenix, pognałem na zachód, targając gaśnicę, na wypadek gdybym napotkał innego przegrzanego agenta federalnego.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).